

Na formię wiersz 2/7

Helena Filochowska ~~Włodarczyk~~

Nasz Kruk.



Ł O M Ź A.

Druk A. Krzyżanowskiego.

1 9 1 0.

Lubi w słoneczne dnie siadać na białej balustradzie balkonów, wiszących po nad morzem, balkonów, z których mniej lub więcej zagasłemi oczyma patrzymy w oślepiający złoty błękit Adryi, lub na ciemne kontury dalekiej wyspy Cherso.

Jest prawie tak wielki, jak jastrząb, a jego czarne lśniące skrzydła rzucają w promienne południe przerażający cień tak głęboki i złowrogi, jak cień nocy burzliwej, gdy na morzu szaleje scirocco, i tylko krwawe przerywane światło dalekiej latarni morskiej wbija się co kilka sekund w nieprzejrzany mrok.

Ma drapieżne szpony, okrutny i olbrzymi dziób, który otwiera szeroko, gdy z gardła jego wydobywa się ów krzyk ochrypły, budzący śmiertelną trwogę, krzyk, w którym drga jakaś fatalna moc przeznaczeń. W upalne słoneczne południa przywiewa w cieniu swych żałobnych skrzydeł, siada na balustradzie, oplecionej kwitnącym bluszczem i purpurą kamelii i w zadumie—nieruchomy, czarny—czeka. Wówczas przychodzimy wszyscy i karmimy go, a gdy pochłonie wszystką przeze mnie przyniesioną żywność, wtulam się w stojący w rogu werandy mój fotel i patrzę.

Patrzę na te wszystkie blade, bezsilne i smutne ręce wyciągnięte ku krukowi, ręce różnorodne,

o różnym kształcie i linii, a tak pełne wspólnego wyrazu, tej osobiwej, bolesnej wymowy, tej rozpaczliwej rezygnacji i rozpaczliwego buntu ludzi skazanych na śmierć.

Są tu ręce spokojne i ciche wysmukłej dziewczyny, która ma czarne, grube warkocze i przedziwną twarz o bladości przezroczej, prawie błękitnawej. To ręce, które nie wiedzą, że blizki im jest kamienny bezwład śmierci. I ręce umęczone, niespokojne błagalne pięknej Balzac'owskiej „*femme de trente ans*“ o złotomiedzianych włosach, której ciało ma jeszcze resztki różowych tonów iście Tycyanowskiej karnacyi, ale spalone gorączką usta wyrzucają w batyst haftowanej chusteczki czarne prawie skrzepy krwi... Ręce męskie bohaterские niegdyś i potężne, ręce, jak ze spiżu, stworzone do czynu — więc obecnie pełne rozpacz i wściekłego buntu. I te młodzieńcze nie świadome jeszcze ni znoju, ni pracy, ni aksamitnej miękkości upajających kwiatów życia, a więc drżące chęcią poznania, jak struna mocno napięta, której sądzono pęknąć, zanim urodzi się z niej pierwszy cudowny dźwięk pieśni...

I ręce godne średniowiecznego pazia, godne, by spoczywały na złocistej mandolinie, pieściły jasne loki na skroniach rozkochanych królewien, zrywały róże wiosenne i ciskały je pod złoto obute ich stopki... Ręce drobne, jak u kobiety, o fioletowo błękitnych żyłach, delikatne w smukłej, prześlicznej linii -- ręce dziecka skazanego

na śmierć... I smutne szare ręce kobiece, zmięte w popolicie i zaduchu życia, ręce, którym już wszystko jedno, gdyż nie czeka na nie żadne piękno, żadna pieszczota losu. I te inne—pańskie, wytworne, wąskie, na pozór tak sztywne w swej zimnej, posągowej piękności, a w duszne noce wiosenne miotające się bezsilnie na piersi drżącej od łkań i modlitw: życia... życia... życia...

Codziennie patrzę na te wyciągnięte ku ptakowi ręce i, nasyciwszy się aż do bólu ich smutkiem nieopisanym, zwracam oczy na naszego kruka.

Syty, siedzi cicho i włości czarne spojrzenie swych posępnych źrenic po naszych twarzach. Jest to spojrzenie mądre i straszliwie przenikliwe, spojrzenie, w którym jest coś ludzkiego, jakaś myśl tajemna, bardzo ważna, bardzo smutna i żałobna. Patrzymy na naszego kruka i po raz setny, tysiączny budzi się w nas ślepa namiętna zazdrość wobec siły jego szponów, lotności i potęgi skrzydeł. Zdrowyś, silnyś,—mówią zawistnie nasze oczy, uciekające co chwila ku ciemnej, samotnej wyspie Cherso, nasuwającej nam natrętnie wspomnienie «Wyspy Śmierci» Boecklina. I drżymy jak dzieci, by kruk nie przerwał ciszy swym ochryplym krzykiem...

Bo... (ach... jakie to śmieszne...) my, ludzie wykształceni, dorośli o wyostrej chorobie inteligencji, my—ludzie dwudziestego stulecia, przeżarci sceptycyzmem i pełni nieubłaganego krytycyzmu, my—powiedziałabym—empirycy z krwi

I kości, my wszyscy prawie wierzymy w baśń, którą opowiada o kruku stary rybak Giovanni: Umiera ten, na którego spojrzy nasz kruk w chwili, gdy krzyczy. Umiera ten, w czyje okna uderzą jego skrzydła żałobne...

Przed paru laty zdarzyło się w naszym sanatorium kilka takich faktów... Wiemy, że był to przypadek... zbieg okoliczności... a jednak—wierzymy w baśń o kruku. Wielokrotnie strzelano do niego, lekarze obiecywali znaczne sumy za trupa ptaka, który tak fatalnie suggestyował chorych. Ale kruk był niedościgniony: w krytycznej chwili roztaczał zawsze swe pyszne, złowrogie skrzydła i znikał gdzieś wśród złomów Monte Maggiore, jak czarny symbol śmierci, żałoby, rozpacz...

I my go sami bronimy, ochraniaamy przed niebezpieczeństwem, walczymy o jego życie i swobodę tysiącem uśmiechów, prośb i dziecinnych gróźb, skierowanych ku nasępionym jego wrogom—lekarzom. Wyśmiewamy głośno legendę o złej wróżbie kruka, drwimy z owego, niby urojonego psychicznego wpływu owej legendy na nasze nerwy; odepchnęliśmy nawet biedną zbłąkaną mewę ze złamanem skrzydłem, którą chciano nam chytrze zastąpić naszego kruka, aby tylko mieć w oczach jego silny dziób, drapieżne szpony i drzeć w głębi duszy przed fatalną baśnią, owiewającą jego straszliwe skrzydła.

.

Kochamy naszego kruka. Jest to jakaś niepojęta, bolesna i nawet przewrotna miłość— niewytłomaczone, dziwne i nielogiczne uczucie, które dałoby się porównać z nieprawdopodobną i dziką miłością, jaką czułby dla swego kata skazaniec, który rozpaczliwie pragnie żyć, a mimo to sercem i myślami czepia się kata, co o świcie, w strasznej ostatniej godzinie odbierze skrwawionemi rękami to najdroższe, upragnione życie...

Tak dziwnie, nielogicznie i zgoła nieprawdopodobnie my kochamy naszego kruka.

.

Kochamy naszego kruka także za prawdę jego spojrzeń. On jeden mówi nam mądrze ludzkiemi oczyma, że nasze twarze żółkną niemal z dniem każdym, że zdala robią wrażenie odrażające, jak twarze trupów. On jeden, słysząc okropną muzykę resztek naszych płuc, nie pociesza nas z doskonale zagrana brawurą:— «Och, to nic, to głupstwo... za miesiąc płuca będą jak miech kowalski»...— Jesteśmy przecie otoczeni siecią spisków, kłamstwa, wiecznej komedyi niekiedy tak niezręcznej, że śmiać chce się aż do łez, aż do łkania... Wmawiają w nas pocziwie, wesoło, energicznie, lub zgoła groźnie i impertynencko, że pieścimy się, kaprysimy i przerażamy urojenem niebezpieczeństwem, że kokietujemy otoczenie naszą chorobą, jak piękna kobieta kokietuje migreną, z którą jej do twarzy... tymczasem «przecież tam do licha, co jest, to jest?»— mruczy

wiecznie zły i trzaskający drzwiami przepoczcziwy nasz doktorzysko, który podobno zamartwia się tygodniami po każdym pacyencie, wyniesionym międzycentofolie i krzewylaurowe tutejszego cmentarza. Wobec nas kłamią nie tylko nasi lekarze, nasza służba, nasi krewni, odwiedzający nas i pełni przerażenia, aby «nie zarazić się» od nas gruźlicą, ale i te kwiaty, krzewy rozkwitłe, pyszna zieleń, pełne słońca morze, daleka, pełna radosnych, żywych barw panorama Quarnero... Tu wszystko dyszy pięknnością, szczęściem i życiem i—nam—brzydkim, żółtym, cuchnącym już rozkładem i nieopisanie nieszczęśliwym, nam skazanym na śmierć, wszystko tu kłamie—piękność, szczęście i życie.

Tylko kruk nie kłamie. Patrzy na nas mądrze, ludzkiemi oczyma, jak gdyby istotnie przeczuwał, kiedy i któremu z nas trzeba będzie zakrakać godzinę śmierci i myśli:

— Pomrzecie.

.

Ani wiemy gdzie spędza noce i posępne, szare dnie. Może gdzie w szczelinie Monte Maggiore, lub w pustce skał nadmorskich, o które tak przepięknie rozbijają się srebrno-zielone piany fal, gdy wzburzy je gwałtowny wiew scirocca. Widujemy go tylko w dni słoneczne, kiedy w jaskrawym blasku płonie złotem morze i wytryska bogactwem i przepychem kolorowa roślinność południa.

Życie staje się czemś odległym, niematemalnym w tem czarującym omdleniu, serce bije równo, i pierś rozszerza się poczuciem jakiegoś słodkiego, słonecznego szczęścia. Po sennej, drżącej taflı błękitu płyną wolno białe barki o żaglach, jak ze srebra, pełne marzących, szczęśliwych ludzi... Młody barkarz Beno śpiewa w swym cudnym języku o morzu i miłości czarnowłosych smagłych włoskich dziewcząt...

Zapominamy o tragizmie naszego istnienia, o czyhającej na nas blizkiej śmierci, skradającej się pod purpurowymi namiotami kwitnących magnolii, w śnieżnym upajającym gąszczu gajów migdałowych. Zdaje się nam, że po za morzem niebieskiem i śpiewem włoska—barkarza nie istnieje żaden przejaw realnego, istotnego życia. Zamykamy oczy, tonąc w leniwej, przesłodkiej rozkoszy, niepomni, że los na czołach naszych, pokrywających się co noc śmiertelnym potem, wypisał niezłomny wyrok śmierci, że pocziwy lekarz naczelny sanatorium przy ceremonii wpisywania nas na listę kuracuszów, po opukaniu naszych pustych już prawie i zapadłych klatek piersiowych, zapytał ze złe ukrutym zniechęceniem:— A dlaczego przybyłeś pan, lub pani tak późno? Dlaczego leczenie zostało tak karygodnie zaniedbane?

Przestają istnieć lekarstwa, męczące programy kuracji, surowe regulaminy i t. p.... i t. p.... Jesteśmy zdrowi, silni, jaśni, szczęśliwi, zatopieni

w jakiejś nieznanej, radosnej kontemplacji. I mnie porywa ów nastrój przesłodki. Zapominam, że jestem istotą skrzywdzoną przez życie, samotną i brzydką «starą panną,» na której zwiędłej twarzy gorycz wyrzeźbiła głębokie zmarszczki cierpienia. Staję się znów młodą dziewczyną ufną i pełną wiary, śmiejącą się do tajemniczego jutra, słońca i ludzi, marzącą o ofiarnej pracy dla bliźnich, gdzieś w białej polskiej szkółce wiejskiej, między wesołą gromadką zdrowych, opalonych, żądnych wiedzy dzieciaków o ciekawych, niebieskich, jak bławaty oczach i prostych duszach, które umiejętnie rozwijać można, jak dobroczynne słońce rozwija pąki leśnych kwiatów. Zapominam, że w me serce samotne uderzały ciosy zdrad i zawodów, i że krew tryskała z ran tych głębokich, ran serdecznych — — — Dobrze mi... Po morzu turkusowem jak we śnie barki płyną... białe barki o żaglach jak ze srebra.....

W owej szczęsnej godzinie zjawia się on — potężny cień, bolesny symbol żałoby śmierci, rozpacz. Jego skrzydła przysłaniają nam słoneczność pejzażu i osnuwają mrokiem radość krótkiej godziny ukojenia. Zda się, że słowa starego rybaka drżą w ciszy upalnej, i bezwiednie źrenice nasze zastygają w tępej zadumie pod mądrym, bezlitośnem spojrzeniem oczu ptaka. Wracamy do trumiennej zaduchy naszego życia z «jasnego brzegu» ciszy i ukojenia — — — A gdy ptak nie zjawia się zbyt długo, mówimy

dużo, głośno, gorączkowo o czemś, błahem, dalekiem, aby zagłuszyć szalony niepokój i niepojętą, dziwną tęsknotę.....

Co rano, po parogodzinnem leżeniu na pełnej słońca werandzie, schodzę po białych, kamiennych stopniach parku nisko, w aleję laurów, gdzie przez gałęzie kwitnących pomarańczy zachwycone oczy widzą błękitną otchłań morza. Jest tam półokrągła kamienna ławka kształtem podobna do marmurówych ławek starorzyskich, na których przed wiekami spoczywały w cieniu gajów cytrynowych cudne kochanki Neronów i Dyoklecjanów.

Na ławce tej widuję często ową panią o miedzianych włosach, słynną śpiewaczkę, której straszliwa choroba niszczy oślepiającą urodę prawie widocznie, z dnia na dzień zaostrażając subtelne rysy tej twarzy niegdyś tak uderzająco pięknej.

W wykwintnej sukni «*Empire*» z lila fularu i najcieńszych koronek, pachnąca modnem «*Peau d'Espagne*», upudrowana i ufryzowana w loki przepięte kosztownymi grzebieniami, wygląda na tle laurów w delikatnie zielonawem półświecie tak młodo i zdrowo, że wprost wierzyć często nie chcę, że stan jej jest beznadziejny, że i ona przybyła tu za późno. U stóp jej, na trzciniowym niskim fotelu „paż“ czyta głośno poezje Verlaine'a, lub Staffa, albo, stojąc przed stalugami, szkicuje coś niedbale. Jest tak miły, chłopięco ładny, w swem

białem, rannem ubraniu, gdy szybkim młodzień-
czym gestem odrzuca z inteligentnego czoła kręte
pasma włosów, lub w rozmarzeniu opiera się
o poręcz ławki, na której delikatnie liliową plamą
znaczy się smukła sylwetka pani Ireny.

Patrzę na nich często i uśmiecham się gorzko.
Fleart z akompaniamentem ohydneho kaszlu, sie-
lanka na tle owego beznadziejnego stadium cho-
rowowego, gdy medycyna jest już bezsilna.

Niekiedy całemi tygodniami pani Irena z po-
vodu silnej gorączki i pogorszenia musi zostawać
w łóżku. Na białej ławce skulony i smutny,
bledszy niż zwykle napróżno czeka na nią młody
malarz, wpatrując się w kamienne schody, ośle-
piające swą białością w ostrem słońcu południa.
Mijając go, rzucam mu parę słów dyskretnej po-
ciechy i zagłębiam się w gęstwinie parku tak
nizko, bym mogła z ostatniej ścieżki wiszącej
nad samem morzem zobaczyć nasze sanatorium.

Wykwita spokojem swych jońskich kolumn,
oddzielających cieniste portyki werand od won-
nych alei parku, wykwita z ciemnej, głębokiej
zieleni drzew, jak symbol piękna, harmonii, wy-
kwintu; jak jeden z tych nadmorskich jasnych
pałacików, kryjących w swych wnętrzach rozko-
chane pary, złotowłose, rozbawione dzieci—gwar,
ruch i szczęście życia.

Tu między białemi kolumnami snuje się śmierć
i zagłada w oczy żyjącym trupom rozciągniętym

nieruchomo na płóciennych leżakach słonecznych balkonów. Tu włoczy się rozpaczliwy, nieutulony smutek świadomości, iż wkrótce trzeba umrzeć, choć morze jest tak turkusowe, a słońce złote, choć kwitną wokół cudne, białe róże i szalony „krzyk życia” rozpięra serce potęgą nieziszczalnego pragnienia — — —

Tu nawet wtedy, gdy w balowej sali rozja-
rzą się setki lamp elektrycznych i przy dźwię-
kach modnego walca wirują pary zdrowszych
kuracjuszków,—nawet wtedy po eleganckiej sali,
wśród pozornie rozbawionego tłumu, przesuw-
a się tragiczny cień żałoby....

Nie mogę długo patrzeć na gmach naszego
sanatorium — — Odwracam oczy i topię je
w błękicie morza, ale, napotkawszy wzrokiem czar-
ną masę wyspy Cherso, znów bezwiednie, z bo-
lesnym skurczem serca myślę o „Wyspie Umar-
łych” Boecklina....

.

Ów młodziutki malarz, który ma takie deli-
katne drobne i białe ręce, ręce pазia, albo ko-
biety, od kilku dni nie wstaje z łóżka. Ponieważ
jestem tu między nimi stosunkowo najzdrowsza,
pozwalam sobie na pewne tak zwane „miłosierne
uczynki”, byłam więc i u Zawiejskiego. Biedny
paż... Czarnemi z gorączki ustami prosił, by
mógł zobaczyć ją... — Pani uchyli drzwi, a ona
niechaj zechce wolno przejść, bym ujrzał na chwilę
jej twarz — błagał, składając tak dziecięco swe

dłonie prześliczne.—Dziś tak mi źle... tak źle—szeptał, opadając bezsilnie na poduszki,—ach, gdybym mógł wiedzieć *ją*... Co za ironia... nawet i tu są *one*... Erotyzm na tle blizkiej, skradającej się śmierci... To serce, które może już za parę miesięcy ostatni raz zatrzepocze się w stygnącej piersi, to serce drży, tęskni, to serce—kocha. Oczy, które wkrótce przysypie sucha, obca ziemia, snują się błędnie za jasną postacią kobiety o lśniącym, królewsko-złocistym kasku wspaniałych włosów, niepomne, że i ona skazana jest na wczesną śmierć, że i ona przybyła przecie zapóźno i, choć pozornie tak jeszcze piękna, może zgasnąć cicho, jak śliczny, purpurowy płomień na wietrze...

Poszłam do pani Ireny, by zakomunikować jej prośbę Zawiejskiego. Cesała właśnie swe przepyszne włosy, na pierwszy rzut oka wprost porywająca, w jakimś niesłychanie wytwornym negliżu. Ale gdy uniosła włosy, by je zebrać w węzeł, zobaczyłam szyję wyschlą, twarz zniszczoną i szarą...

Na moją prośbę rozśmiała się wzgardliwie, pokrywając szybko twarz różowym pudrem.—Nie, pani, nie pójde—mówiła, śledząc w lustrze żółtawe plamy na policzkach.—Dzieciakowi przewróciłoby się w głowie.. Zresztą... mam dziś swój zły dzień—*a bad day*—jak powiedziałaaby próżna angelka... Zawiejski, jako esteta—jest

przecie nim—przeraziłby się, bo wyglądam dziś, jak trup.

Przypomniat mi się rozpaczliwy wyraz czarnych prawie z gorączki ust chłopca i prosiłam jeszcze ciepło, serdecznie, jak o łaskę dla samotnego chorego. A gdy widziałam, że proszę napróżno, wydarło mi się z piersi bezwiedne westchnienie:

— Pani okrutna...

— Tak pani—podchwyciła z odpychającym uśmiechem — to należy niejako do mego typu...

Wracając do Zawiejskiego, zerwałam pęk czerwonych kamelii i, dając mu kwiaty, skłamałam, że są darem pani Ireny, która z powodu silnego bólu głowy wyjść z pokoju nie może.

«Paż» uśmiechnął się (tak szalonego ze szczęścia uśmiechu nie widziałam dotąd w życiu) i rozrzucił po poduszce kamelie, tarzając się po nich drobną, spaloną gorączką twarzą.

A gdy po chwili odchodziłam, pocieszając go nadzieją polepszenia, uśmiechnął się spokojnie:

— Ja wiem, proszę pani, że nie jest źle... I—tylko niechaj pani się nie śmieje...—kruk jeszcze mi nie przepowiedział—dodał z dziecięcym uśmiechem.

.

W godzinę potem przybiegła do mnie pani Irena, zadyszana, drżąca całą jakimś pragnieniem, z rozszerzonymi podnieceniem oczyma.

— Droga pani...—prosiła, składając białe ręce skrzące się brylantami pierścionków, — niech pani jedzie ze mną do Fiume... choć na krótko... na godzinę... Muszę zobaczyć tłum ludzi zdrowych, radosnych, szczęśliwych, usłyszeć gwar ich, śmiech, ujrzeć perspektywy rojnych ulic, które mi przypomną wielkomiejskie życie .. Tu... dławie się... dławie...

— Czy lekarz pozwolił?—zapytałam zdziwiona z niechęcią, pełna jeszcze wspomnień o scenie w pokoju pani Ireny.

— Oczywiście. . więc dobrze, dobrze? Ach! niech się pani zlituje — szepnęła namiętnie, czytając w mych oczach wyrzut za swe okrucieństwo względem Zawiejskiego.

Zawahałam się, ale w spojrzeniu niespokojnych zielonawych źrenic proszącej wyczytałam tyle rozpacz, tyle błagalnej wymowy, że, nie rozumując nad stanem zdrowia pani Ireny i wytrzymałością jej sił fizycznych, zgodziłam się.

Wkrótce czekałam na nią na molo, patrząc zbliżka na morze jakieś inne wówczas, osobliwe.— Barwa jego stalowo sina mieniła się zrzadka tylko tak dobrze znanym i ukochanym lazurem, a po grzbietach niespokojnych fal przebiegał tajemny dreszcz scirocca. Ale słońce, jak zwykle, topiło cały swój przepych gorący w zieleni dalekich winnic i potopem złota opadało na morze przepiękne w swej nierozpętanej jeszcze grozie.

Nagle nadeszła pani Irena. Początkowo zdało mi się, że śnię, gdyż kobieta, w czarnych koronkach eleganckiej sukni, z ożywioną twarzą przeciętą pręgą purpurowych śmiejących się ust, z płomiennymi włosami, które poprostu paliły się pod czarnem rondem wielkiego kapelusza, była zgoła inna w swej radosnej tryumfującej piękności, w upajającym i pełnym upojenia wyrazie zmiennych oczu, czerwonych ust i ruchów giętkich, szybkich, młodych, niż znana mi dotychczas przygnębiona, zdenerwowana, zgaszona chorobą pani Irena.

Na pokładzie parowca, oparta o drzwi prowadzące do kajut,—stała się szczególnie ujarzmiającą. Zauważyłam wówczas, że spojrzenia mężczyzn zastygały w milczącym wybuchu namiętnego podziwu i snuły się po jej węzowych liniach, po ramionach bielejących pod czarną koronką stanika lub gasły w zadumie, w marzeniu.— — —

I przypomniało mi się pewne określenie D'Annunzia wyczytane w *«Triomfo della morte»*, które mi się w tej chwili wydało jak gdyby określeniem samej pani Ireny: „kobieta stworzona dla uciechy zmysłów, silne i delikatne narzędzie rozkoszy“... Mój pełen pruderyi instynkt parafianki, którą na podobne kobiety nauczono patrzeć przez pryzmat „zgorszenia“ i „wzgardy“, zadrżał przez chwilę prawie w lęku, wobec objawiającej się istoty pani Ireny.

Czułam, że pani Irena pławi się z rozkoszą w tej gorącej fali westchnień, marzeń i pragnień, zbudzonych bliskością jej zdumiewająco rozbłyśniętą znow, nawskroś cielesnej piękności, która pod tem tchnieniem namiętne rozkwitała mi w oczach, nabierała barw coraz świetniejszych i czułam się coraz bardziej obcą, samotną i daleką od jej radości i upojenia.— — —

— Odżyłam... odżyłam --szeptała co chwila prawie nieprzytomna, drżąca, cisnąc ręce do piersi.

A gdy wśród szalonego zgiełku portowego miasta, w wytwornem, purpurowem wnętrzu oświetlonej a giorno kawiarni zadrgały w powietrzu koronkowe, precudnie rzeźbione dźwięki walca «*Amoureuse*», oczy pani Ireny rozpały się nieznanem mi światłem, i z ust jej buchnęła bezładna, gorączkowa gmatwanina wspomnień i wyznań.

A więc dziewczyna śliczna, jak wiosna pełna temperamentu, ognia i gorącej tęsknoty do piękna, harmonii i egzotyizmu w porywie serca ujętego ogromem wzbudzonej miłości skuwa się z człowiekiem ślepo w niej rozkochanym o prostej nieskomplikowanej naturze tej kategorii mężczyzn, którzy pojmują szczęście tylko w „ciasnych ramach rodzinnego życia“, dalecy od szerszej myśli, szerszego lotu, szerszego oddechu piersi spragnionej wrażeń, ciosów i rozkoszy prawdziwego życia.

...„Zjadacz chleba“... Tak... tak... początkowo idylla we dwoje gdzieś na głuchej prowincyi

galicyjskiej, gdzie dusza kona z pustki i tęsknoty. — — Potem dzieci... obowiązki... Dom pełen zapachu pieluch i krzyku nianiek — cała „kuchnia“ małżeńska. Obrzydliwa proza i pospolitość, a na tem tle tęsknota coraz szaleńsza... tęsknota szepcząca o cudzie szczęścia, tęsknota szlochająca: och! żyć! żyć! .. I po jakiejś operze, czy koncercie (na które poczywy „zjadacz chleba“ woził od czasu do czasu swą smutną żonę do prawdziwego wielkiego miasta) — śpiewała sławna, przesławna włoszka — w strwożone, storturowane serce uderzył nagły cios zdobytej pewności... W znużonej duszy obudziło się wspomnienie — — — Pani Irena przypomniała sobie, że ma głos, jak srebro, lub perły ciskane na płytę kryształu... Wsluchiwała się w przenikliwy krzyk duszy: Och! życia... życia... Ucieczka w noc jesienną po głuchej walce nad jasnemi, uśpionemi główkami dzieci, a potem ta tułaczka w poszukiwaniu największej ilości wrażeń, te oklaski... kwiaty... przez mgłę upojenia widziane szare, potężne, suggestywnujące oczy mężczyzny o genialnem czole myśliciela, o zwiędłych ustach przeżytego *bon viveur'a*. Dwa cudne miesiące nad Lago di Garda... nagle pewnego ranka szept ust kochanych: — Tyś chora? kaszlesz? — a w szarych potężnych oczach pełne nikczemnego lęku pytanie: gruźlica? Na zakończenie «sielanki» ucieczka bez pożegnania... ten złoty i błękitny ranek, gdy pokojówka, blada włoszka z bezczelnemi oczyma, oznajmiła iż

«*signor da Villa rosa*» wyjechał. Na zakończenie sielanki bukiet bladych magnolii... tylko tyle... Niby uderzenie sztyletu w samo serce — uderzenie nieoczekiwane, straszliwe, ostateczne... Więc dla zabicia wspomnienia znów szaleństwa, kwiaty, oklaski... tyle ust całowanych, tyle nocy szalonych, po których zostaje w gardle suchy spazm łkania, a w ustach słodkawy smak szampana pitego bez miary...

— Nie dziwi się chyba pani, że strasznie jest me obecne życie, gdyż nie mogę zagłuszać bólu... Gdy w chwilach takich, jak obecna, staje się nagle, jakby cud — szaleję, płonę, odzyskuję siły, i budzi się we mnie znów to dawne, kipiące życie z epoki gdym kochała, gdym z czerwoną zasłoną upojenia na oczach wchłaniała w siebie szczęście — młoda, uwielbiana, obrzucana deszczem kwiatów i — zdrowa. Dziś... Niechaj pani popatrzy na mnie... Oto mam właśnie «dzień cudu». Oddycham tak lekko, czuję się tak młodą i zdrową... stanęłabym znów przed tłumem zebrany w jakiej wielkiej, wspaniałej sali i zasłuchanemu, drżącemu w napięciu nerwów zaśpiewałabym pełną piersią tak, bym w śmiertelnej ciszy usłyszała potem bicie serc — — — Więc dziś dlatego musiałam uciec choć na godzin parę z tej atmosfery śmierci, choroby, nieszczęścia... Niechaj pani pomyśli, jak męczę się w rygorze naszej lecznicy, gdy przychodzi taki nagły wybuch zamierających sił, taki protest żywego jeszcze or-

ganizmu przeciw potędze tych niepozornych, drobniutkich prątków Kocha, niosących śmierć, takie szalone pragnienie zatonięcia w bezmyślnej, wprost zwierzęcej radości istnienia, w gwarze i śmiechu zdrowych silnych ludzi — — —

Pani Irena kazała podać szampana. Nie opowiadałam porwana wprost jej żywiołowym temperamentem, oślepią pięknnością, zdumiona tą cudowną wprost metamorfozą, jaka dokonała się w przeciągu paru godzin bez mojej wiedzy we mnie...

Pani Irena budząca we mnie dotąd przykry niesmak swą ekscentrycznością zakrawającą na pozę, pomimo ciężkiej choroby oddana kultowi swej gasnącej urody, ta pani Irena, której przeszłość rzucała na nią w moich oczach cień, przerażała dotąd moją cnotliwą, staropanieńską „purytańską“ duszę zakamieniałej egoistki. Wreszcie ta pani Irena ciskająca mi przez ramię wzgardliwe i pamiętne zdanie, iż okrucieństwo należy do jej „typu“ — jak na przykład modny, haftowany kołnierzyk lub szal jedwabny należy do stroju elegantki, — ta pani Irena, która nie chciała ukoić tęsknoty ciężko chorego Zawiejskiego, tęsknoty zbudzonej w sercu jego z całą świadomością wyrafinowanej kokietki — wydała mi się nagle kimś zrozumianym, usprawiedliwionym, prawie bliskim.

Może dlatego, że w bezładzie i chaosie jej wyznań usłyszałam tłumione łkanie matki wyciągającej ramiona do opuszczonych maleństw, matki, która w huczne noce zabaw, wśród śmiechu

pustego tłumu, dźwięków muzyki i brzęku kieliszków słyszała niekiedy rozpaczliwy, cichutki, dziecięcy płacz... widziała jasne, opuszczone główki sierot...

— Ach pani,—mówiła drżącymi nerwowo ustami,—tak często pragnęłam wrócić... W nocy, po cichu wkraść się do dziecięcej sypialni, przyczołgać się na kolanach do białych łóżeczek, całować drobne nóżki, bezbronne, kruche, jak cacka rączki, ciepłe twarzączki wśród jasnych loków... Płakać z głową opartą na wątlej piersi, w której bije wzruszone, maleńkie serce, czuć oplatające się wokół szyi te ciepłe, kochane ramionka, czuć szybkie, gorące pocałunki usteczek szepczących z drżeniem, przez łyzy: Mamusiu... Zapomnieć o przeszłości, żyć dla tych dwóch istot drogich... Ale niechaj pani zrozumie — ta myśl okropna, że on, ojciec moich dzieci, człowiek niezdolny do kompromisów, z bladą, kamienną twarzą jednym gestem nieodwołalnym drzwi mi wskaże — — — Co za męka — — —

„Niechaj pani zrozumie“ — prosiła pani Irena... Zrozumiałam... Jej bolesna, rozpaczliwa spowiedź szarpnęła mem sercem dotąd głuchem prawie nacudzy ból, cudze nieszczęście, pochłoniętem jedynie własnym bólem i własnem nieszczęściem. Zrozumiałam i cierpiałam głęboko nad skazaną na śmierć wielką artystką, piękną kobietą, nad tą, którą dawniej nazywano „kapryśnem dzieckiem szczęścia“. Cierpiałam nad nieszczęsną matką

wyciągającą do dzieci ramiona po przez roześmiane tłumy wielbicieli, po przez wonne góry w darze złożonych kwiatów, przez pełne światła, huczące oklaskami sale teatrów, gdzie artyzm jej święcił tryumfy, elektryzował, porywał. Zrozumiałam, i ta piękna kobieta przechylająca w tył głowę upajającym ruchem bachantki w chwili, gdy usta jej chłonęły chciwie musujący płyn szampana, to „kapryśne dziecko szczęścia“, ta wielka artystka z chorem, tragicznym płomieniem w rozszerzonych żrenicach, z drżącymi śmiechem i łkaniem wargami wypełniła mi duszę dotąd nieznanym gorzkim i dojmującym żalem.

I gdy potem, na pokładzie parowca miotanego burzą, pani Irena stała, pod gwałtownymi atakami wichru, trzymając się oburącz żelaznej balustrady, prosiłam ją gorąco, z troską prawie macierzyńską, aby, jak wszyscy, zeszła do kajut. Ale upór jej był nieprzewyciężony. Silnie podana naprzód patrzyła szeroko rozwartemi oczyma w sine, bluzgające białą pianą morze.

Wicher obwijał, obciskał dokoła jej bioder i nóg czarną, lekką suknię, przesłaniał miedzianymi pasmami włosów jej twarz bardzo bladą, porywał czarne pióra kapelusza i miotał niemi z wściekłością. Dopiero w tem posępnem, żłowieszczem oświetleniu gasnącego pośród ryku burzy dnia obnażyły się wszystkie przesmutne znamiona straszliwej choroby tającej się w zapadłej już piersi tej kobiety. Cała nagość bez-

litośnego podeptania, zniszczenia jej piękności, młodości i sił ujawniła się w żółtawej, chorej barwie twarzy otartej z pudru, w przerażającym martwym blasku nieruchomych oczu, w zeschłej linii przepysanych niegdyś ramion, w śmiertelnej przezroczej bledości rąk z wysiłkiem zaciśniętych na żelaznym słupie.

Była to znów jakby inna kobieta, żywe bolesne przeczenie tamtej, która w gwarnej kawiarni z płomieniem ust i oczu piła wino szampańskie z kieliszka ociekającego lekką pianą i uśmiechała się do mnie cudnym półuśmiechem pięknej, niepokojącej kobiety — — —

Wracając z molo do sanatorium, którego białe kolumny jaśniały i nikły w fioletowym świetle błyskawic, uprzytomniłam sobie cały bezsens i całe szaleństwo naszej tajemnej wyprawy; wyobraziłam sobie oburzenie personelu lekarskiego i zadrżałam wprost na myśl, że lekko ubrana pani Irena mogła przeziębic swe krwawiące, chore, biedne płuca...

Spojrzałam na jej twarz, którą siny blask błyskawic czynił podobną do bladego zjawiska i w chwili, gdy, walcząc z wichrem, chciałam mówić, zobaczyłam na twarzy tej uśmiech prawie uszczęśliwiony, uśmiech dziecięcej, żywej wdzięczności.

— Niechaj pani nie mówi nic — prosiła, — a gwałtowny wiatr tłumił jej głos ciepły i głęboki. — Niech pani nie mówi... Zepsuje mi pani cały wdzięk i czar naszej «ucieczki». To było

takie cudowne szaleństwo... Zdaje mi się, że w tych paru godzinach, przeżyłam na nowo wszystkie radości, męki, rozkosze i smutki swego krótkiego życia... Żyłam... rozumie pani? I dziękuję, dziękuję sercem...

Wyciągnęła do mnie obie cienkie, delikatne ręce, które na tle czarnej sukni i czającej się już czarnej nocy jaśniały martwą białością marmuru.

Minęłyśmy puste aleje ogrodu, gdzie miotane wichrem kołysały się z szumem drzewa platanów, a klomby pachniały słodko i upajająco mokrymi kwiatami. Na werandzie pani Irena raz jeszcze uśmiechnęła się do mnie milcząco, jak wdzięczne dziecko, i — cicha, czarna, wysmukła — znikła między kolumnami.

Po kilku chwilach, wchodząc do swego pokoju, usłyszałam nagle dochodzący z za ściany ostry, przeraźliwy krzyk kobiecy..., Był to bezprzytomny, ślepy krzyk człowieka śmiertelnie przerażonego. Krzyczą tak tylko chore, nerwowe dzieci przez sen, gdy śni się im straszliwy upiór, albo śmierć matki, a ludzie dorośli, gdy bardzo pragną żyć, a czują zamierający, osłabły rytm własnego serca.

Był to krzyk pani Ireny. Wbiegłam do jej pokoju, drżąc z przerażenia, i w nikłym blasku świecy ujrzałam ją stojącą w czarnej batystowej bieliźnie na środku pokoju, z twarzą trupio bladą, z rękami zaciśniętymi kurczowo na ledwie osło-

niętych piersiach. Jej szklane, jak umarłe oczy patrzyły tępo z pod wzniesionych brwi w kierunku okna.

Za szybą, bijąc w nią ciężkimi skrzydłami, unosił się w sinawej poświacie potworny nasz kruk i z gardła jego wydobywał się ów dźwięk chrapliwy tak podobny do jęku dławionego zwierzęcia. Miotał czarnymi plamami skrzydeł, a głuche ich razy uderzały w szybę brzęczącą z cicha pod ich złowrogą mocą. W dziwnym, granatowym mroku burzliwej nocy ogromny jego kształt zolbrzymiał i zpotworniał.

Sine usta pani Ireny zadrżały.

— Umrę—powiedziała ochryłym, cudzym głosem, gdy ptak z łopotem skrzydeł przepadł w nocnej głuszy.

W tę noc patrzyłam do rana na morze, huczące tuż pod moim pełnym kwiatów balkonem. Oszalałe fale wdzierały się srebrną, migotliwą białością pian na dwie samotne skały i w chwili, gdy zsuwały się napowrót w pełną ryku, grzmotu i grozy otchłań, zdawało mi się, że w ich przeraźliwym monotonnym jęku słyszę straszny krzyk pani Ireny.

.
.

Tak. Pani Irena umrze. Dwa miesiące upłynęły od tamtej, burzliwej, niezapomnianej nocy... Dwa miesiące potwornych ataków kaszlu, śmiertelnych osłabnień, nocy, pełnych gorączko-

wych wizyi, lub nagłych polepszeń, łudzających nadzieją zmęczone, biedne serce pięknej kobiety, wielkiej artystki, „kapryśnego dziecka szczęścia“...

Wyniszczone, szara, z wyolbrzymionemi, sucho lśnięciami oczyma leży w pachnącej, koronkowej bieliźnie i patrzy w morze, które po za rozwartem wielkiem oknem weneckiem pieści swój lazur promienny olśniewającym złotem słońca i kołysze na zmiennych, szumiących falach barki białe, jak mewy, barki, pełne śpiewu i śmiechu.

Pod oknem pachną liljowe lewkonje i róże purpurowe, świetne, przepiękne symbole młodego, bujnego, wrzącego niespokojną krwią życia. Pachną kwiaty i pachnie morze, ujęte kwitnącym, pełnym wonnego cienia wybrzeżem, pachnie cała radosna, bogata natura, śmiejąca się—słońcu, morzu, dalekim, błękitniejącym wyspom i rozkochanym w niej oczom ludzkim ..

A pani Irena *musi umrzeć*.

.
Jestem przecie starzejącą się już kobietą, włosy me zaczyna obieleć siwizna, mózg funkcjonuje normalnie, prawidłowo, a inteligencja moja pozwala mi na zimny, trzeźwy krytycyzm. Wiem, że pani Irena umrze nie dla tego, że nasz kruk w ów wieczór przerażający zajrzał do jej okien i zakrakał posępną „pieśń śmierci“, ale dla tego, że resztki jej stoczonych kawernami płuc nie mogą już dłużej pracować. Przepowiadali od kilku miesięcy lekarze... Wiem... wszystko wiem... pojmuje...

a jednak... Myśl moja snuje się ustawicznie dokoła fatalnego ptaka i fatalnej, suggestywnojującej, a tak dziecinnej i niemądrej legendy.

.

Wczoraj stan pani Ireny był bardzo groźny. Oddychając szybko i wpatrując się we mnie wielkimi, niespokojnymi oczyma, prosiła, bym telefonicznie sprowadziła dzieci. Ale po chwili wybuchła płaczem i wśród łez powtarzała z rozpaczą: — Nie, nie... Nie można... Nie mogłabym przecie spojrzeć w ich jasne, dziecięce, skrzywdzone oczy... Muszę umrzeć, nie zobaczywszy ich wcale...

Obróciła się twarzą do ściany i płakała cicho skulona, drżąca i nieszczęśliwa.

— Z całej jej niezwyklej piękności zostały tylko włosy wspaniałe, miedziano-złote, w zaniebaniu spływające po poduszkach strugami jakby lśniącego, roztopionego kruszcu. Te włosy, po tylekroć razy całowane, pieszczone, tyle razy malowane przez wielkich portrecistów, uwielbiane w sonetach znanych poetów... Włosy miękkie, jak najdelikatniejszy jedwab, i ciężkie swem bogactwem, jak złoto, o kolorycie podobnym do przepysznych loków kobiety w purpurowym płaszczu z obrazu Tiziana *«Amor sacro e amor profano»*, przed którym blisko godzinę stałam w zachwycie, zwiedzając galerję Borghese w Rzymie.

Włosy te kryły mokrą od łez, żółtą twarz,
tak bardzo już podobną do twarzy trupa.

.
.

W jasne, pachnące noce pod oknami pokoju
pani Ireny błądzi bezsennie szary samotny cień. .
W chwilach, gdy chora wybucha głośnym płaczem,
lub męczy się w ataku kaszlu, cień kurczy się,
drży, chwieje .. Siedząc między palmami werandy,
widzę dwie załamujące się ręce... Po chwili słyszę
szept Zawiejskiego, zdążającego ku mnie krokiem
lunatyka:

— Czy to prawda, pani, że ona umrze?
Tyle razy powtarzano mi to, a ja nie mogę zro-
zumieć — — —

Oparty o balustradę, z twarzą w dłoniach,
mówi zmęczonym szeptem:

— Taki talent... Nie wiem, czy pani ją sły-
szała... Przed kilku laty -- byłem już wówczas
chory i lekarze wysłali mnie do Włoch -- leżałem
zgnębiony melancholją po ulicach Neapolu w pe-
wien szary i dżdżysty dzień. — Zobaczyłem na
afiszach polskie nazwisko — koncert w San Carlo.
Poszedłem. Ona śpiewała... Salę wypełniało
oprócz miejscowej arystokracji i melomanów takie
internacyjne «dzikie» towarzystwo — Francuzi,
Anglicy, Amerykanie, trochę Rosyan i Polaków.
Śpiewała pieśni francuskie, włoskie, hiszpańskie.
Sala trzęsła się od oklasków, a ona taka dziwna —
w prostej sukni z czarnego aksamitu — (ach, pa-

miętam to tak dokładnie, tak jasno...) dziękowała lekkim, prawdziwie zimnem schyleniem głowy... Złocista, olśniewająca głowa... A na końcu zaśpiewała jakąś polską piosenkę, piosenkę, w której szlochał jesienny wiatr, rwącą serce w piersi przeraźliwym smutkiem polskich, nasiąkłych krwią ugorów, pełną rozpaczliwego bólu—ach, wie pani... taką *naszą* piosenkę... Gdy skończyła, sama drżąca, pobladła, w zamarłej, milczącej sali rozległ się szloch... Płakano... I ja płakałem i tej samej nocy porwany dziką, nieokiełznaną tęsknotą do ojczyzny uciekłem z Włoch do naszej szarej, drogiej wsi w Lubelskiem...

Zamilkł. W ciszy jasnej, księżycowej nocy z za półotwartych okien pokoju pani Ireny dobiegł jej zrozpaczony, osłabły głos:

— Prawda, doktorze, że ja muszę umrzeć? I głos lekarza, któremu współczujące serce człowieka każe kłamać do ostatka:

— Niechaj się pani uspokoi... Będzie pani żyć...

.

Jest nas tu troje. Mąż pani Ireny, Zawiejski i ja.

Siedzimy cichutko w dusznej woni wędnących kwiatów, w półmroku zasłoniętych kirem okien, który zgasił, złagodził miedziany blask włosów pani Ireny.

Patrzymy w nią uparcie, jak ludzie, silnie zahypnotyzowani, najuporczywiej jednak wbijają się w martwe rysy zmarłej przekrwione, tragiczne w swem bezmiernem zdumieniu oczy przybyłego.

Jest w nich, zda się, wszystko prócz żalu dla tej zwyciężonej już przez potęgę śmierci kobiety, która zdeptała jego prawe, gorące uczucie i dzieciom jego wyrządziła najstraszliwszą z krzywd. Jest w oczach tych bezgraniczne zdumienie, niepojęte osłupienie człowieka, który stara się coś zrozumieć, a nie może i męczy się nad wykryciem prawdy. W oczach jego jest pytanie: czy to możliwe, aby ten straszny, żółty, poczynający już cuchnąć trup, zarzucony, jak na urągowisko, najcudniejszymi z kwiatów, był tą samą prześliczną, młodziutką kobietą, którą kochał tak bezpamiętnie — żywą, zdrową, jasną, podobną do kwiatu, wiosny, słońca?

Nie mogłam oderwać oczu od tej przeraźliwie smutnej postaci, w okurzonem, źle skrojonym ubraniu, ze zmiętą znużeniem, okamieniałą twarzą... Ale maska, wyrażająca zdumienie tylko i pytająca: więc to ty? to ty? — kłamała. W bolesnem, nieukojonem załamaniu ust, tak zaciętych, jak gdyby chciały stłumić jęk, był ból namiętny, głęboki, szarpiący — — —

A może człowiek ten był właśnie jednym z ludzi, którzy potrafią przebaczać, i oczekiwał w cierpieniu i tęsknocie dnia jej powrotu, jej, która odtrąciła, jak martwą, zbyteczną rzecz, jego wier-

ne, ślepo oddane serce? Może marzył, że coś kiedyś szarpnie tę dziwną, błędną kobiecą duszę tęsknotą za dziećmi—sierotami, za jego głęboką i prostą miłością męża, przyjaciela, opiekuna?

Pani Irena leżała w żółtym blasku wysmukłych świec, wśród czerwonych kamelii, hyacynków i anemonów. Patrząc na jej nieco w tył na atlasową poduszkę odrzuconą głowę, odsuwałam bezskutecznie przypomnienia tego ruchu, z jakim jej miedzianożłote loki opadały na obnażony lekkim wycięciem sukni kark, gdy, śmiejąc się, wychylała kieliszek szampana.. I w kątach jej czerwonych, niespokojnych i niepokojących ust był wówczas ten sam wyraz tajemnego cierpienia, który dziś zastygł na prześlicznym, subtelnym kształcie martwych warg.

Zresztą był to już tylko sztywny, zimny trup, odpychający grozą i majestatem skrzepłych, kamiennych rysów. Za jasnemi rzęsami niedomkniętych powiek szklily się blado nieruchome oczy, śniące swój wieczny, sen śmierci... Ręce—niegdyś żywe, giętkie, ruchliwe, skrzące się błyskawicami brylantów—stały się odrażające w swym nieruchomym spokoju, jak rzecz, z wosku żółtego zrobiona i ułożona ciężko na ciele, tak miękko ujętem w jedwabne cienkie i delikatne fałdy szarej sukni śmiertelnej.

Na ręce te tępo i długo patrzył Zawiejski. Myślał zapewne o purpurowych kameljach, które

rzekomo ofiarowały mu te niegdyś żywe i ciepłe jeszcze dłonie kobiece wówczas, gdy mu gorączką płonęła chora, wbita w poduszki głowa... Myślał o purpurowych kwiatach, które potem noc całą wędły, czerniały i marły na jego spalonych, tęskniących ustach i modlił się pewnie dziękczynnie do tych litosnych, bladych, umarłych rąk, nie wiedząc nic o mem kłamstwie.

I gdyśmy tak we troje siedzieli w dusznej woni kwiatów i półmroku zasłoniętych okien, przytłoczeni najtragiczniejszym ze smutków — smutkiem poczucia męczącej bezsilności wobec brutalnej i nieodwołalnej potęgi śmierci, która z żywych, myślących i pełnych pragnień ludzi tworzy *rzecz* bezduszną, okropną, *zbyteczną rzecz*, wzbudzającą pewien rodzaj bolesnego przerażenia, — po za temi kirem zasłoniętymi oknami wrzało, kipiało i śmiało się bujne, młode życie — — —

Wyszłam na werandę i zdumionemi oczyma zobaczyłam znów kwitnące ogrody, lazururowe złote morze... Drżała na niem biała barka i głęboki męski głos śpiewał jedną z tych włoskich piosenek, w których wybucha, jak płomień, radością, namiętnością i upojeniem uwielbienie życia — — —

Zawiejski wyszedł za mną i oto, przechyleni przez oplecioną pnącymi się krzewami róż kamienną balustradę, chłonęliśmy pełni miłości, stęsknionemi oczyma to bijące ku nam falami

woni, barw i światel zwycięskie, nieśmiertelne życie — — Witaliśmy je, pełni radości i szczęścia, zmęczeni kirem i tragizmem śmierci, w myśli wyciągający dziękczynnie ramiona ku wonnym alejom cienistych ogrodów, ku dalekim, słonecznym perspektywom, ku włoskiej pieśni barkarza, sławiącej piękno życia...

Serca nam biły mocno, mocno, bośmy wrócili z nad czarnej otchłani bez dna, której na imię Śmierć.

I choremi płucami wdychaliśmy chciwie kryształowe powietrze radości i nieopisanie szczęśliwi, że oto jeszcze—żyjemy.

A tam — w półmroku zasłoniętych kirem okien w żółtem, żałobnem migotaniu świateł, wśród dusznej woni więdnących kwiatów zostało ich dwoje...

.

Jak dawniej przywiewa w słoneczne dnie w posępnym cieniu swych potwornych skrzydeł, siada na balustradzie balkonów, wiszących ponad morzem, jak kwietne ogrody, i patrzy na nas mądrymi, przenikliwymi oczyma.

Nasz kruka...

Kochamy go wszyscy dziwną, bolesną, cho-roobliwą miłością, tęsknimy do widoku jego potężnych szponów, drapieżnego dzioba i, szydząc z siebie samych, bezustannie wracamy myślą

do legendy, która nas — ludzi trzeźwych do-
rosłych — suggestyonuje i przeraża, jak małe dzie-
ci przeraża opowiadana w jesienny wieczór bajka
o strachach...

W godzinie karmienia siadam na swym
bujającym fotelu i patrzę na te wszystkie ręce
wyciągnięte ku ptakowi, ręce tak pełne bolesnej
wymowy w swej bladości i smutku... ręce ska-
zanych na śmierć, drżące wśród woni róż na tle
złota i lazuru morza, które płonie w słońcu,
jak turkus najcudniejszy.

...Zjawia się w chwilach, gdy dusze, szar-
pane męką, cichną i układają się do snu słod-
kiego na błękicie morza, jak mewy srebrzyste,
znużone długim lotem...

Gdy świat tonie w przezroczem świetle,
prawie białem, a marmurowe kolumny blizkich
willi nabierają w cieniu pinii modrej barwy snu,
marzenia, nierzeczywistości...

Gdy wszystkie kwiaty wybuchają najpysz-
niejszym natężeniem kolorów, by uczynić z owej
godziny cud piękna, by wyczarować z istnienia
melodyę upojeń najwyższych i ekstaz, najbardziej
dyszających rozkoszą...

Zjawia się, jak bezlitosny symbol śmierci,
w chwili, gdy ramiona nasze pręży nieopisana
tęsknota, gdy nasze zagasłe oczy rozświećla
płomieniem szalone, próżne marzenie o nieoce-
nionem szczęściu Życia — — —

Lovzana.
